

Brygida Helbig

**Siedząca na piasku**

Wynurzenia czterdziestolatki, to pewnie akurat nie jest w tej chwili na topie, jest się już nudnawą, poważną panią, może panią doktor, może dyrektorem, kojarzy się ze wszystkim, tylko nie z pięknnością, świeżością, zalotnością, fajnymi pomysłami, życiem. Na wiedzmę zaś zdaje się jeszcze być za wcześnie. Jeśli kojarzę się komuś ze starą, nudną babą, to zapewne ma rację, w każdym razie moja córka jest przekonana, że nie ma na świecie nic mniej intrygującego ode mnie. „Ale mój ukochany nie będzie taki jak ty?” – pyta. „Zapewniam cię, że nie będzie” – odpowiadam i mruczę sama do siebie: „Nie jestem nudna, tylko przeżywam przygody wewnętrzne”.

Być może to wcale nieprawda, być może to wymówka, być może migam się przed przygodami jakimikolwiek bądź. Być może pałam energią, ale zużywam ją całą na walkę sprzecznych we mnie sił. Jestem zza Buga. Jestem z zachodniej strony Odry. Pośredniczę między tymi, którzy kochają mnie tam, a tymi, którzy kochają mnie tu. Siebie zaś nawzajem nienawidzą. We mnie zogniskowały się różnice mentalne, jestem progiem nie do przekroczenia, nie mieszkającym, a zamieszkanym przez wszystkich miesz(k)añcem. Tak więc ni w tę, ni we w tę. Tak więc drepczę w miejscu i plonę wielkim

ślupem ognia. Albo inaczej: silnik rzezi ostatkiem sił, dorożka nie rusza do przodu, koń nie staje dęba, niedługo zostanie ze mnie popiół. Czas nagli, noc zapada, nie ma już ani chwili życia. Może to właśnie napisane jest na piasku. Zostało mi mniej niż połowę, więc co wieczór nie mogę zasnąć, co rano budzę się o wiele za wcześnie, o wiele zbyt przerażona. Budzę się z wewnętrznym we mnie krzykiem. Co robisz?! Umierasz coraz bardziej, umierasz w stuletnim śnie. To nieprawda, co pisała Maria Janion – żyjąc, tracimy życie – nie, ja bym z tym polemizowała, ja jestem innego zdania. Żyjąc – zyskujemy życie, życie broczące krwią i tryskające źródłaną wodą, problem w tym, że nie żyjemy właśnie, że coś nas czasem blokuje.

Jestem na wczasach w Międzyzdrojach. Jedną nogą za Bugiem, drugą w Niemczech, trzecią już w „Hameryce”. Siedzę na balkonie, piszę, patrząc na morze, i w tym momencie, w tym momencie żyję naprawdę. Żyję naprawdę, bo się do tego dziś zobligowałam. Nie, nie będę tracić ani sekundy, ani chwili, od natychmiast będę robić to, czego pragnę, kim jestem, czego z całego serca sobie życzę. Nie będzie już żadnych wymówek. Dzisiaj, dokładnie od dzisiaj codziennie poświęcam czas na bycie tym, kim jestem, kim już od zawsze byłam, wiedząc o tym i nie wiedząc: Nie jestem Polką, nie jestem Niemką, córką, matką, ukochaną, nie jestem nawet ani mężczyzną, ani kobietą, jestem osobą siedzącą na piasku. Czyli poetką, poetą – niekoniecznie piszącą wiersze. Jakie to wstydlive słowo – „poeta”. Pisał o tym Różewicz, pisał o tym, że nigdy nie powiedział ojcu, że jest poetą, nie wiedział, czy to się godzi. Tylko jego matka wiedziała – bez słów.

Starsi oglądają „Modę na sukces”. Skąd sukces takich seriali? Ludzie lubią patrzeć na intensywne życie. Lubią, żeby coś się działo. Całymi dniami leżą z Elą na plaży, patrzą na brązowych, wypicowanych szpanerów, a najchętniej na te nieopalone, białe, zwykłe rodziny, które lekko zażenowane cieszą się z morzem, pilnują kąpiących się dzieci, smarują je olejkami do opalania, nie pozwalają wybrać się na motorówkę, wyjmują z koszyka kanapki, nie pozwalają sobie na gorące naleśniki domowe z jagodami i na zimniutką mrożoną kawę, na gorące kolby kukurydzy i zimniutkie kubki kawy. Widzę smutne samotne kobiety z dzieckiem, które próbują być matką i ojcem jedno-

cześnie, rzucają dziecku piłkę plażową, zastaniają je ręcznikiem, żeby mogło przebrać kąpielówkę (a Niemcy pokazują wszystkim pupy), uprawiają pantomimę, żeby nie oddalały się od brzegu. Dokładnie tak, jak kiedyś. Widzę białe jak mąka, grube kobiety, którym z pewnością nie umyka, jak mężczyźni uganiają się za laskami. W bikini. „A babcia wie, co to jest bikini?” – pyta nagle Ela. „Babcia doskonale wie, bo sama kiedyś była bikinią” – wyjaśnia dziadek. Nie lubię młodych rodziców z Berlina, krzyczących na swoje dzieci łamaną, straszną niemieczyną. Brakuje mi łodiarzy, krzyczących: „Hermaszewski, gdy był młody, też kupował u mnie lody!”.

No więc jest tak, że oczywiście widać również zakochane pary i myślę, że gdybym się dowiedziała, że zostało mi jeszcze tylko kilka dni życia, najchętniej pojechałabym nad morze z kimś, kogo kocham. Plaża wieczorem, zachody słońca, piasek, kufel zimnego piwa, leżeć w tym piachu, żartować, mówić sobie różne różności, minutami, godzinami, bez opamiętania, bez wytchnienia. Jeszcze nigdy tego nie zrobiłam.

Cały czas potykam się o ludzi robiących sobie nawzajem zdjęcia, wszędzie się komuś wchodzi w obiektyw, najczęściej parom, zakochanym. Wczoraj, gdy wchodziliśmy wieczorem na plażę, jakiś facet chciał zrobić zdjęcie ukochanej w świetle zachodzącego słońca. Nad samym wejściem na plażę powiewała jednak jak transparent wielka reklama Toyoty: „Przez tę zasraną Toyotę cały zachód słońca do dupy” – użalał się głośno. Europa. Moją córkę gna do Ameryki. Rozdarcie drugiego pokolenia emigrantów. Naszym dzieciom jeszcze trudniej niż nam, jeszcze bardziej nie wiedzą tu, kim są. „Gdzie zgubiłaś chustkę!” – krzyknął ktoś tu na nią niedawno, sądząc, że jest Turczynką. W przedszkolu nie obudzili jej, jak przyszedł Mikołaj. W przedstawieniu nigdy nie dostała roli. Jej najlepszą przyjaciółką – Meksykanka. W Ameryce będzie wiedziała, kim jest. Sama będzie po prostu emigrantką, będzie należeć do jakiejś kategorii. „Imigrant-imigrant-imigrant-punk” – tego słucha, to lubi, to kocha. Na topie amerykańska Ukraina. Eugene Hutz, Gogol Bordello.

A jeszcze niedawno miałam siedemnaście lat i jadłam w Międzyzdrojach nie kebab berliński tylko zwykłe placki ziemniaczane. Kamilałam mewy, łabędzie. Rzucałam się w zimną wodę. Śmiałam się na cały głos. Żal mi tych ludzi na

plaży, tych biednych, takich zwyczajnych, zwłaszcza tych starych, niepięknych kobiet, które już utraciły swą wartość w kulturze, i niemieckiej, i tak samo polskiej. Niektóre są już zrezygnowane i tych szkoda mi najbardziej, wstydy się i chowają, przepraszają, że żyją, inne – mimo braków urody, noszą się po królewsku, mają odpowiednią postawę, zakładają kapelusze, zwiewne, kolorowe suknie, zdobią się biżuterią. Najważniejsze, żeby się nie chować, żeby wiedzieć, czuć, rozumieć, że mamy prawo na tym świecie być, kimkolwiek byśmy były, żebyśmy się nie kulily, nie kurczyły. Bycie na plaży to bardzo dobra okazja, żeby taką właśnie postawę wyćwiczyć, gdyż tu musimy się pokazać, nie możemy kryć się po kątach albo za biurami, katedrami. Kto wie, odpukać, czy już nie jutro zginiemy w U-Bahnie, świat nie jest zbyt bezpiecznym miejscem. Więc tak, po pierwsze – wiedzieć, co naprawdę ważne, czego nie wolno odsuwać na dalszy plan, po drugie, nie zadomawiać się tylko w tym świecie, po jednej lub po drugiej stronie rzeki, lecz spróbować zakorzenić się gdzieś głębiej, gdzieś tam, gdzie nie dopadnie nas nawet śmierć. Której się, owszem, pewnie boję. Jeszcze bardziej boję się jednak ludzkich okrucieństw, nienawiści, wojen. Upokarzania siebie nawzajem. Poczucia wyższości, arogancji, zła.

Być starą kobietą, to nie jest problem największy. Największy problem, to być rozgoryczoną starą kobietą.

Ludzie rozmawiają ze sobą, często jednak nie słyszą się nawzajem. „Ogórków całkiem dobre” – mówi mąż. „Obrus, co obrus?” – pyta żona. Coraz mniej na plaży ogórków kiszonych. Moja mama opowiada o swych bólach głowy. Na to moja córka: „Wiesz co, to twoje ciało krzyczy.” Mama wybucha śmiechem. Dzielą ich światy, ale potrafią się z tego śmiać. Przechodzą nad przepaścią smugą tęczy. W przepaści zostają ja.

Mówi się dzisiaj, że dzienniki, podobnie jak wszelka literatura, to między innymi przejaw autoinscenizacji. „Inszenizacja” to dziś słowo bardzo modne, zwłaszcza w Niemczech. Media niemieckie z upodobaniem stosowały je w odniesieniu do umierającego papieża. Papież kreował podobno swe cierpienie, jego wystąpienia publiczne nazywano „inscenizacją”. Także i o pisaniu dzienników nie mówi się dzisiaj, że jest mozolnym poszukiwaniem własnej

prawdy, odczytywaniem znaczeń, nadawaniem sensu własnej egzystencji, tylko autokreacją - nakierowaną na zewnątrz, „na pokaz” konstrukcją własnego wizerunku. Musimy bardzo uważać, jakich używamy słów. Słowa nie są niewinne.

Dla mnie sny są, jak mówi Anselm Grün, językiem Boga – językiem podświadomości, intuicji, czasem wewnętrznej mądrości. Dla nich, moich ukochanych, są przede wszystkim ciemną wyrocznią, ponurą, samosprawdzającą się przepowiednią. A więc i dla mnie. Dla mnie jednak też, chociaż nie chcę... Ciągłe to samo ćwiczenie: koncentrować się na teraźniejszości, nie gubić się cały czas we własnych myślach, „kontaktować”. Ela dwa razy musi coś powtarzać, zanim to do mnie dotrze.

Nie lubię wieczorami chodzić promenadą w Międzyzdrojach, nie lubię tego, że ludzie ubrani są tak strasznie na pokaz. Nie lubię wczasowych atrakcji, żmii wokół szyi, świece gaszonych komuś batem na głowie, ludzi-posągów, gabinetów figur woskowych. Najmniejszym złem są tu jeszcze Meksykanie z pióropuszcami na głowach.

Brygida Helbig